

Amélie Nothomb

Do pierwszej krwi

wstrząsająca
autobiografia ojca

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

N•W≡

**Do pierwszej
krwi**

Amélie Nothomb

Do pierwszej krwi

przekład Jakub Jedliński

Collection
NOUVELLE
najnowsza proza francuska

N•WΞ

Tytuł oryginału francuskiego *Premier Sang*

Copyright © Éditions Albin Michel, Paris 2021

Copyright © Nowela, Poznań 2022

Copyright © for the translation by Jakub Jedliński

Redaktor serii Emilia Zwoniarska

Opracowanie graficzne i skład JNK Graftekst Justyna Nowaczyk

Korekta Karolina Frąckowiak

ISBN 978-83-67029-81-0

Wydawnictwo Nowe

Nowela sp. z o. o.

ul. Żmigrodzka 41/49

60-171 Poznań

Dział handlowy (+48 61) 847 40 40

www.wydawnictwonowe.pl

e-mail: redakcja@wydawnictwonowe.pl

*Mój ojciec jest dużym dzieckiem,
które miałem,
gdy byłem zupełnie mały.*

Sacha Guitry

Prowadzą mnie przed pluton egzekucyjny. Czas się rozciąga, każda sekunda trwa stulecie dłużej niż poprzednia. Mam dwadzieścia osiem lat.

Przede mną stoi śmierć o twarzy dwunastu egzekutorów. Zwyczaj chce, aby jeden z karabinów został nabity ślepyimi nabojami. Dzięki temu każdy może wierzyć, że popełnione morderstwo nie będzie jego winą. Wątpię, by dziś zadośćuczyniono tej tradycji. Mam wrażenie, że żaden z tych mężczyzn nie potrzebuje złudzenia niewinności.

Kiedy przed dwudziestoma minutami wyrzeszczano moje nazwisko, doskonale wiedziałem, co to znaczy. I przysięgam, że odetchnąłem z ulgą. Skoro mnie zabiją, nie będę musiał już mówić. Od czterech miesięcy negocjuję nasze życie, przed czterema miesiącami rozpocząłem nieprzerwane pertraktacje mające odwlec naszą śmierć. Kto teraz będzie bronił pozostałych zakładników? Nie wiem i to mnie gnębi, ale jakaś część mnie czuje też ulgę. Wreszcie będę mógł zamilknąć.

Oglądam świat z furgonetki wiozącej mnie pod pomnik i zaczynam dostrzegać jego piękno. Żal opuszczać to cudowne miejsce. Żal – przede wszystkim – po dwudziestu ośmiu latach istnienia tak boleśnie to odczuwać.

Wyrzucili mnie z samochodu, kontakt z ziemią zachwyca: jest tak serdeczna i łagodna, ależ ja ją kocham! Cóż za zachwycająca planeta! O ileż bardziej umiałbym ją teraz docenić. Na to też jest już za późno. Niemal cieszy mnie myśl, że za kilka chwil moje martwe ciało zostanie porzucone na gołej ziemi.

Południe, słońce uparcie maluje światłem, powietrze sączy zachwycającą woń roślinności, jestem młody i w pełni sił – to takie głupie teraz umierać. Przede wszystkim nie wypowiadać wiekopomnych słów, marzę o ciszy. Huk wystrzałów, które mnie zamordują, będzie przykry dla moich uszu.

I pomyśleć, że zazdrościłem Dostojewskiemu doświadczenia plutonu egzekucyjnego! Teraz moja kolej przeżyć ów bunt wewnętrzny. Nie zgadzam się, odrzucam niesprawiedliwość mojej śmierci, żądam dodatkowej chwili, każdy moment jest tak intensywny, że samo delektowanie się upływającymi sekundami wprowadza mnie w stan uniesienia.

Dwunastu mężczyzn bierze mnie na cel. Czy przed oczami przeleci mi całe życie? Czuję tylko, jak dokonuje się we mnie niezwykła przemiana: żyję. Skoro każdą chwilę można w nieskończoność dzielić, śmierć mnie nie dopadnie. Zagłębam się w twardym jądrze teraźniejszości.

Teraźniejszość zaczęła się dwadzieścia osiem lat temu. Już w czasach, kiedy moja świadomość dopiero raczkowała, dostrzegam swoją niezwykle radość z istnienia.

Niezwykłą, gdyż zuchwałą: wokół mnie królował smutek. Miałem osiem miesięcy, kiedy ojciec zginął podczas rozbijania miny. To pokazuje, że umieranie jest tradycją rodzinną.

Ojciec był wojskowym, miał dwadzieścia pięć lat. Tego dnia miał uczyć się rozminowywania. Ćwiczenia okazały się krótkie, przez pomyłkę dano mu prawdziwą minę zamiast atrapy. Zmarł na początku tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku.

Dwa lata wcześniej ożenił się z Claude, moją matką. To była wielka miłość, jakie wówczas przeżywano w belgijskich wyższych sferach, swą dyskrecją i godnością odwołująca się wprost do dziewiętnastego wieku. Fotografie ukazują młodą parę w trakcie przejażdżki konnej po lesie. Rodzice są bardzo eleganccy, piękni, szczupli, zakochani. Niczym bohaterowie powieści Barbey'ego d'Aureville¹.

¹ Barbey d'Aureville (1808–1889), pisarz francuski, autor powieści i nowel zawierających elementy romantycznego satanizmu, jego piśmarstwo cechuje barwny i bogaty styl [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

Zdumiewa mnie, jak szczęśliwa na tych zdjęcia wydaje się matka. Nigdy jej takiej nie widziałem. Album z czasów jej małżeństwa kończy się na fotografiach z pogrzebu. Najwidoczniej matka planowała opisać zdjęcia później, w wolnej chwili. Ostatecznie nigdy na to się nie zdobyła. Jej życie małżeńskie trwało zaledwie dwa lata.

W wieku dwudziestu pięciu lat przybrała wygląd wdowy i nigdy już nie zdjęła tej maski. Nawet uśmiechała się z przymusem. Oschłość odcisnęła piętno na twarzy matki i pozbawiła ją młodości.

Bliscy mówili: „Masz przynajmniej pociechę w dziecku”.

Spoglądała w stronę kołyski i widziała ładnego, zadowolonego z życia niemowlaka. Ta jowialność ją drażniła.

A jednak kochała mnie, kiedy się urodziłem. Jej pierworodny był chłopcem i zbierała z tego powodu gratulacje. Teraz wiedziała, że nie tylko jestem jej pierwszym dzieckiem, lecz także jedynym. Oburzała ją myśl, że mogłaby zastąpić miłość do męża miłością do syna. Nikt oczywiście wprost jej tego nie sugerował. Tak to jednak rozumiała.

Ojciec Claude był generałem. Bez trudu pogodził się ze śmiercią zięcia. Nie komentował jej. Stał się milczącym ucieleśnieniem neutralności armii². Matka Claude była czuła i łagodna. Los córki ją przerażał.

- Podziel się ze mną swoim smutkiem, kochanie.
- Zostaw mnie, Mamo. Pozwól mi cierpieć.
- Cierp. Trochę jeszcze pocierpisz. A potem znów wyjdiesz za mąż.

² We Francji i w Belgii armia określana jest mianem *Grande Muette* (wielkiej niemowy), ze względu na przestrzeganie przez wojskowych neutralności politycznej.

– Milcz! Nigdy już nie wyjdę za mąż. André był i jest mężczyzną mojego życia.

– Oczywiście. Teraz masz Patricka.

– Co za gadanie!

– Przecież kochasz syna.

– Kocham go. Ale pragnę ramion mojego męża, jego spojrzenia. Pragnę jego głosu, słów.

– Chcesz wrócić do domu?

– Nie. Zostanę w moim mieszkaniu kobiety zamężnej.

– Może oddasz mi na jakiś czas Patricka?

Claude wzruszyła ramionami na znak, że się zgadza.

Szczęśliwa babcia wzięła mnie do siebie. Miała już dorosłą córkę i dwóch synów, tymczasem trafiła jej się taka gratka: znów pojawiło się u niej niemowlę.

– Patrysiu, jaki ty jesteś śliczny, jaki kochaniutki.

Nie obcinała mi włosów i stroiła w czarne albo niebieskie aksamitne ubranka z koronkowymi kołnierzami z Burges. Nośmę jedwabne rajstopki i botki na guziczki. Brała mnie na ręce i pokazywała odbicie w lustrze:

– Widziałeś kiedyś równie cudnego dzidziusia jak ty?

Patrzyła na mnie z takim zachwytem, że czułem się ładny.

– Widzisz, jakie masz długie rzęsy? Jak aktorka. A jakie niebieskie oczy, jasną cerę, śliczne usteczka, czarne włoski. Zupełnie jak z obrazka.

Babcia przywiązała się do tej myśli. Zaproponowała córce, żeby pozowała ze mną znanemu w Brukseli malarzowi. Claude odmówiła. Jej matka wiedziała, że robi jej to na złość.

Matka oddała się życiu światowemu. Wcale nie lubiła przyjąć, ale też nie miała zamiaru robić tego, co sprawia jej przyjemność.

Z zaskakującą elegancją nosiła publicznie żałobę, aby ją zrozumieć i nadać jej zamierzony kształt. Nie miała innych aspiracji.

Rano budziła się z myślą: „Co założę dziś wieczór?”. To zagadnienie porządkowało całe jej życie. Popołudnia spędzała u wielkich dyktatorów mody z entuzjazmem podejmujących się zadania odziania równie szlachetnej rozpacz. Suknie i kostiumy doskonale leżały na tej wysokiej i szczupłej młodej kobiecie.

Od tysiąc dziewięćset trzydziestego siódmego roku wymuszony uśmiech Claude pojawia się na niemal wszystkich fotografiach z wieczornych przyjęć organizowanych przez belgijską śmietankę towarzyską. Wszędzie ją zapraszano, a jej obecność gwarantowała stylowość i dobry smak każdego bankietu.

Mężczyźni wiedzieli, że uwodzenie mojej matki nie wiąże się z żadnym zagrożeniem – ona bowiem nie ulegnie. I dlatego jej nadskakiwali. Było to przyjemne zajęcie.

Kochałem matkę miłością beznadziejną. Rzadko ją widywałem. Co niedzielę w południe przychodziła na obiad do swoich rodziców. Zwracałem oczy ku tej cudownej kobiecie i biegłem do niej z otwartymi ramionami. Miała szczególnie sposób unikania uścisku, wyciągała ręce, żeby mnie nie podnieść. Czy robiła to z obawy o swoją toaletę? Ze zniecierpliwionym uśmiechem mówiła:

– Dzień dobry, Paddy.

Panowała wówczas moda na angielski.

Taksowała mnie wzrokiem od stóp do głów z łagodnym rozczarowaniem, którego nie byłem w stanie przeniknąć. Jak mogłem zrozumieć, że zawsze miała nadzieję zobaczyć swojego męża?

Matka jadła bardzo mało i bardzo szybko. Byle tylko dostarczyć jedzenie do ust. Potem wyjmowała z torebki piękne

etui i zapalała papierosa. Jej ojciec spoglądał na nią z głęboką dezaprobatą – kobieta nie powinna palić. Wywracała oczami z wyrazem dyskretniej, jak jej się wydawało, pogardy. Gdyby była w stanie wydusić słowo, powiedziałaby: „Jestem kobietą nieszczęśliwą. To daje mi przynajmniej prawo do papierosa!”.

– No dobrze, Claude, opowiadaj – prosiła Babunia.

Mama mówiła o koktajlu u Iksów, niezwykle interesującej rozmowie z Mary, prawdopodobnym rozwodzie Teddy’ego i Anny, dość komicznym kostiumie Katherine – wszystkie imiona wymawiała z angielska i zwracała się do swoich rodziców „Mommy” i „Daddy”. Żałowała, że nie istnieje „jakieś uroczę angielskie zdrobnienie” jej własnego imienia.

Mówiła szybko i niewyraźnie, kładąc nacisk na „T” w przeświadczeniu, że Anglicy tak właśnie mówią.

– Idę na herbatkę do Tatiany. Ona wcale nie jest tak przygnębiona, jak utrzymuje.

– Weźmiesz ze sobą Patricka?

– Chyba żartujesz, Mommy, zanudziłby się na śmierć.

– Nie, Mamo, bardzo chciałbym ci towarzyszyć.

– Nie upieraj się, kochanie, tam nie będzie innych dzieci.

– Przyzwyczailem się do tego, że nie ma dzieci.

Wzdychała i lekko unosiła podbródek. Ten gest sprawiał, że milkłem – rozumiałem, że zdaniem tej niedostępnej i wzniosłej kobiety popełniłem błąd.

Babunia czuła, że cierpię.

– Idźcie we dwójkę do parku, mały potrzebuje powietrza.

– Powietrza, powietrza, zawsze tylko powietrza!

Ileż to razy słyszałem te słowa z ust matki? Zalecenia higienistów dotyczące przebywania na świeżym powietrzu wydawały jej się bzdurne. Oddychanie uważała za przereklamowane.

Kiedy wychodziła, byłem smutny, ale czułem też ulgę. Najbardziej mnie martwiła świadomość, że ona podziela to moje dwojakie odczucie. Claude mnie przytulała, rzucała smutne spojrzenie i znikwała szybkim krokiem. Kiedy się oddalała, jej szpilki wspaniale stukały, sprawiając, że byłem chory z miłości.